

Domówka z artystą

BARTEK BOROWICZ dwa lata temu wpadł na pomysł organizowania koncertów w łódzkim mieszkaniu. Swój projekt nazwał „House Gigs Pogonka”. W zeszłym roku przedsięwzięcie zostało wyróżnione przez mieszkańców miasta w plebiscycie „Punkt dla Łodzi”.

Kacper Krzeczewski: - Musisz być bardzo otwarty na ludzi, skoro nie boisz się wpuszczać obcych do domu.

Bartek „Borówka” Borowicz: - Ufam ludziom i nigdy nie miałem większych obaw. Chcemy, żeby goście wychodzili od nas zadowoleni, żeby dla nich to było wyjątkowe przeżycie. Jednocześnie staramy się dobrze żyć z sąsiadami. Na razie to się udaje.

Koncerty w kawalerce? To dość awangardowa inicjatywa...

- Jako właściciel agencji koncertowej na co dzień pracuję z muzykami. Jeden z artystów z naszej ekipy miał bardzo długi przejazd, bo mieszka na Dolnym Śląsku, a jechał grać do Trójmiasta. Chcieliśmy mu zorganizować jakiś koncert po drodze. Nie wiedziałem, gdzie by to mogło być i wtedy wymyśliłem, że u mnie. Sytuacja się powtórzyła i postanowiliśmy z Magdą, właścicielką mieszkania, że zaczniemy robić takie akcje cyklicznie. Nazwa „House Gigs Pogonka” wzięła się oczywiście od ulicy Pogonowskiego. Muzyków dobieram ja, ale Magda musi ich zaakceptować. Na ścianie wiszą pamiątki w postaci biletów i plakatów po każdym z ponad 30 występów, które odbyły się do tej pory. Wcześniej takie koncerty robiliśmy za granicą - w Szwajcarii, w Anglii, w Niemczech, ostatnio również na Ukrainie.

Jesteście jedyni w Polsce?

- Nie jesteśmy jedyni i nie mamy patentu. Staramy się natomiast tę ideę rozprzestrzeniać. Organizowaliśmy koncerty w mieszkaniach u innych osób - w Warszawie i Poznaniu, ale były też takie małe miasteczka jak Wołów czy Oborniki Śląskie. Robiliśmy również imprezy w wioskach: Sołtysy i Huta. Jeden z tych koncertów odbywał się w mieszkaniu, a drugi w stodole.

Ile czasu zajmuje przygotowanie takiego wydarzenia?

- Jeden dzień. To jest jedyny dzień w miesiącu, kiedy tutaj sprzątamy (śmiech). Musimy też nieco przemeblować mieszkanie. Magda gotuje dla artystów - a przy okazji dla nas - i drukuje pamiątkowe „bilety”, a ja drukuję plakaty, które projektuje nam znajomy. Po tych ponad dwóch latach mamy takie doświadczenie, że przygotowania zajmują właściwie nie dzień, a kilka godzin.

Artyści u was nocują czy wyjeżdżają zaraz po występie?

- Często jest tak, że kiedy publiczność już wyjdzie, siadamy i rozmawiamy do późna, czasami wychodzimy do miasta na piwo, a innym razem po prostu kładziemy się spać. Rozkładamy wtedy łóżko w miejscu, w którym wcześniej była „scena”, więc artysta śpi dokładnie tam, gdzie grał.

Cisza nocna zaczyna się o 22 i wtedy koncerty się kończą. Ze względu na sąsiadów?

- Ściany są tak grube, że sąsiedzi praktycznie nie słyszą tego, co się dzieje w naszym mieszkaniu. Mieliśmy tutaj koncert zespołu Hańba! Oni naprawdę głośno grają. W trakcie występu wyszedłem

na korytarz i w ogóle nie było słyhać. Największy hałas jest wtedy, kiedy publiczność bije brawo, krzyczy i kiedy ludzie schodzą się na koncert lub wychodzą po imprezie. Staramy się więc kończyć przed 22, żeby nie wkurzać sąsiadów.

Ogłaszacie, że to koncerty dla maksymalnie 30 osób. Czasem wpuszczacie więcej.

- Wyliczyliśmy, że w pokoju, który ma około 20 metrów kwadratowych, 30 osób to grupa idealna. Na początku nie wiedzieliśmy, jakie będzie zainteresowanie. Bywało trochę więcej, ale też - trochę mniej. Rekordowo przyszło ponad 60 osób. Wtedy Myrra Rós z Islandii stała wciśnięta w róg, a część publiczności tłoczyła się na podłodze w kuchni. Stamtąd ludzie nie widzieli, jak artystka gra, ale chcieli jej posłuchać. Przy 30 osobach zarówno artysta, jak i słuchacze mają optymalne warunki. Ten jedyny raz, gdy grała Myrrusia, zdarzyło się, że nie wszyscy weszli.

Publiczność wrzuca „co łaska” do kapelusza. To jedyne wynagrodzenie dla artystów, którzy u was występują?

- Tak. Na każdym koncercie nasz kapelusz idzie w ruch. Sugerujemy, aby wrzucano 10 zł, ale jak ktoś jest splukany i da dwa złote, to nie ma tragedii. Gdyby urząd skarbowy nas skontrolował, powiem, że nie sprzedajemy biletów, więc nie mamy kasy fiskalnej i nie płacimy podatku. Artysta gra za kasę z kapelusza, a to jest legalne (śmiech) i nieopodatkowane - tak jak granie na ulicy.

Chciałbyś w przyszłości przenieść koncerty do większego mieszkania?

- Nie! Chcę, żeby koncerty pozostały tutaj, bo to jest „siedlisko” tej idei, klimat tej idei. Ta dzielnica, ta kamienica, ta kawalerka... To jest niepowtarzalne wydarzenie także dla muzyków. Grasz akustycznie, czyli bez prądu, bez nagłośnienia, więc dźwięk jest zupełnie inny, wokal jest zupełnie inny. Publiczność tuż obok. Za garderobę służy kuchnia, gdzie praktycznie cały czas ktoś się krząta, więc z tymi ludźmi, swoimi słuchaczami, żyjesz przez dwie, trzy godziny. Koncert inaczej się toczy. Tutaj nagle ktoś się odezwie i wychodzi z tego rozmowa. Mam wrażenie, że to się podoba i artystom, i publiczności. Rok temu dostaliśmy nagrodę „Punkt dla Łodzi” od mieszkańców miasta za ciekawą inicjatywę. Wierzmy, że to ma sens.

Robisz to tylko dla frajdy?

- Wyłącznie. Chętnie pomagamy innym w organizowaniu podobnych imprez. Nie mamy z tego żadnych pieniędzy, a musimy poświęcić swój czas. Dzięki tym koncertom lepiej poznajemy artystów, ale i mieszkańców Łodzi, co jest dla mnie bardzo ważne, bo razem z Magdą pochodzimy z Wielkopolski. No i raz w miesiącu muszę się zmobilizować, żeby tu posprzątać (śmiech).